№ 50. Warszawa, dnia 3 (15) Grudnia 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

KRONIKA PARYZKA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

Przygotowania do wystawy powszechnej, szybkim postępują krokiem. Wieża Ejfel przerosła już wszystkie paryzkie gmachy, mimo że dosięgła ledwie dwóch trzecich części, swoich przyszłych rozmiarów. Wyznać musimy, że w miarę jak rośnie traci potworu kształty, jakie w początkach raziły nam oko nie przywykłe do takiego ogromu. Nie wiemy tylko czy pałace i bazary zaimprowizowane na polu maosowem, nie stracą na sąsiedztwie olbrzyma, sięgającego czołem pod obłoki.

Plac wystawy szczelnie zagrodzony, dziś dostępny wyłącznie dla małej garstki uprzywilejowanych. Jadąc jednak tramwajem od strony rzeki, dostrzegamy ciekawy szereg ludzkich mieszkań, w ich historycznym rozwoju, począwszy od pierwotnych budek nawodnych, podpartych palami, do zamków i pałacyków, zmieniających kształty stosownie do klimatu i fantazyi plemion, rozsianych po szerokim świecie.

Lud wieśniaczy którym dotąd Paryż tak mało się zajmował, poczyna coraz to silniej budzić uwagę powszechną. Etnografowie biorą go za cel naukowych swych badań, malarze za wzór do rodzajowych obrazów, psychologowie za przedmiot do analistycznych dyssekcyi. Ohydne powieści z życia ludu, rzucone w świat przez Zolę, wywołały potrzebę rehabilitacyi włościanina. W tym celu zapewne organizatorowie wystawy, budując zagrodę bretońską, dadzą w niej poznać życie ludu, jego prace, jego zabawy, jego domowe zwyczaje, słowem wszystko co wyciska na nim piętno indywidualizmu. Wiadomo; że ze wszystkich prowincyi francuzkich, Bretonia zachowała najlepiej swój pierwotny charakter.

Szerokie miejsce na wystawie, zajmie muzeum pamiątkowe Joanny d'Arc. Będzie tu wiernie odbudowany dom w Domremy, istniejący dotychczas i otaczający go ogród; w śród trzodki żywych owiec, ma być przedstawioną postać Joanny, gdy słucha świętych głosów. Inne reprodukcye pokażą Dziewicę w dwunastu głównych chwilach z jej życia, aż do więzienia i śmierci na stosie.

W domku zebrane będą sprzęty, pozostałe dotąd w Domremy po Joannie; wszystkie księgi, ryciny, autografy, poświęcone jej w pasmie wieków. Na organach i fortepianie grane będą ustępy z oper, symfonii i oratoryów, do których Joanna dała natchnienie mistrzom.

Fronton długi na czterdzieści metrów, przypomni bramę Orleanu, zamek w okolicach Compigne, zkąd Joanna ratowała się ucieczką, i bramę Paryża, przy której padła ranna. Straż około muzeum utrzymywać będą potomkowie rodziny d'Arc, żyjący dotąd w Lotaryngii.

* * *

Dnia 15 Listopada, wyszła z druku w Londynie i Paryżu, książeczka pod tytułem „Fryderyk III, następca tronu i cesarz". Jest to zarys biograficzny, poświęcony pamięci zmarłego monarchy, wykonany pod kierunkiem cesarzowej Wiktoryi. Autorem dziełka Anglik Kord, który długo przebywał w Berlinie i posiadał ufność książęcej pary. Książka wydana na korzyść szpitala, dla dotkniętych chorobą gardlaną. Przedmowę napisała sama cesarzowa. Przytaczamy tu jej wyrazy, głęboką nacechowane boleścią:

„Ci, którzy zrodzili się na niższym szczeblu społecznym, którym nie dano używać tego co świat nazywa dobrem, wyobrażają sobie częstokroć, że brzemię jakie im przypadło, najcięższe do zniesienia, że walka bolesna i łzy, wyłącznym tylko ich udziałem. Zmienią zapewne zdanie, kiedy im powie ta książeczka, ile wycierpiał człowiek wysoko postawiony, jak wytrwale znosił cierpienia, z jaką siłą ducha spełniał obowiązki swoje w ciągu długiej i dotkliwej choroby; zrozumieją wówczas głęboką boleść monarchy, który kochał swój lud, a czuł, że nie zdoła wykonać obmyślanych przez siebie planów, w celu zapewnienia mu szczęścia

i podziwiać będą odwagę, jakiej dawał dowody podczas, gdy śmierć ogarniała go cieniem.

„Boleść udziałem jest wszystkich. Zranione serca, znajdują się zarówno w pałacu jak i w ubogiej chacie. Węzły rodzinne silniej tam zaciśnięte miłością i współczuciem, gdzie dusze podnoszą się razem ku niebu. Bodajby ta historya uczciwego i pożytecznego życia Fryderyka III, przeniknęła serca tych, którzy ją czytać będą."

Autor a raczej autorka książki, żywo maluje młode lata Fryderyka, wojskowe jego wychowanie, pierwszą podróż młodziana do Anglii, odwiedziny królowej na wyspie White, poznanie z młodziuchną księżniczką. Opowiada potem szczegóły o małżeństwie, o szczęśliwych latach pożycia. Mówiąc o wojnie francuzko pruskiej, przypomina wielki szacunek księcia dla żołnierzy francuzkich, czytamy kilka wspomnień z tej epoki:

Wieczorem po bitwie pod Reichshoffen, poczciwy jakiś Bawarczyk zawołał z uniesieniem: „Gdyby wasza książęca mość dowodził nami w r. 1866, bylibyśmy tęgo zbili tych przeklętych prusaków."

„Żadna pochwała, mówił książę, nie sprawiła mi tak wielkiej przyjemności."

Z głębokiem uczuciem opisane tu krótkie dni panowania, do bolesnej chwili, kiedy śmierć rozdarła dwa serca tak ściśle połączone z sobą.

* * *

Przy nadchodzącym Nowym Roku, pojawiają się różne wytworne publikacye, przeznaczone na kolendowy upominek. Do tych należy dzieło pod tytułem: „Hektor Berlioz, jego życie i prace". Autor życiorysu A. Jullier, podnosi wysoko geniusz Berlioza, nazywa go pierwszym w świecie symfonistą, zaznacza wielkie tryumfy, jakie mistrz odnosił za życia tak we Francyi jak w Anglii i Niemczech. Tryumfy te nie wystarczały wielkiemu kompozytorowi: czuł się nieszczęśliwym, przepełniony gorycą wyrzucał współczesnym, że go zrozumiéć nie umieją.

Berlioz pragnął zapanować w teatrze, stanąć tuż obok Rossiniego i Majerbeera. Niepowodzenia dramatyczne doprowadzały go do rozpaczy, odbierały mu siłę twórczą.

Rosnąca sława Wagnera dręczyła go, spędzała mu sen z powiek. Obaj ci mistrze nienawidzili się nawzajem, rzucali sobie w oczy jadowite pociski, jeden drugiego usiłował strącić z piedestału, jak gdyby dla obu nie było dość miejsca pod słońcem. Ta niesłychana drażliwość zatruła ostatnie lata Berlioza, spowodowała chorobę hipokondryi i przedwcześnie wtrąciła go do grobu.

* * *

Innej, równie dziwacznej chorobie, uległ znów Ryszard Wagner. Jeszcze za życia mistrza dzienniki żartowały z jego fantastycznych kostyumów. Te żarty raz poraz powtarzane zamieniły się nakoniec w legendę; nikt nie brał ich na seryo. Aż tu niedawno Nowa Prassa wiedeńska, wydrukowała szesnaście listów słynnego kompozytora. Widzimy z nich, że legenda była zupełną prawdą. Owe listy adresowane do panny Berty modniarki berlińskiej. W pierwszym Wagner prosi ją o cierpliwość, przyrzeka zapłacić dług w najkrótszym terminie. Drugi jest pisany ze Sternberga, do niego dołączony był weksel:

„Kiedy widziałem panią w Wiedniu, pisze Wagner, przyrzekłaś mi pracować jeszcze dla mnie; ja z mojej strony chętnie zapłacę resztę pozostałego długu. Znasz pani model przyjęty przezemnie na domowe ubranie, wiesz przytem jak mi trudno dostać tu materyi jakie lubię. Jeżeli więc zechcesz dostarczać mi w przyszłości sukien według mego gustu, będę gotów płacić roczny rachunek za robotę i kupno potrzebnych materyałów. Ale przedewszystkiem proszę o odpowiedź na następujące pytania: 1) Czy można dostać u Sontag'a, pięknego atłasu, według załączonej próbki jasno brunatnej? 2) Czy jest takiż atłas w kolorze ciemno różowym? 3) Czy cena atłasu nie przejdzie czterech lub pięciu złotych reńskich? 4) Czy można znaleźć atłas niebieski w tymże gatunku, lecz jaśniejszy od próbki? 5) Czy Sontag ma jeszcze w magazynie piękny atłas ponsowy, którym podszyłaś pani mój biały szlafrok w kwiaty?

„Proszę przysłać mi zaraz próbki tych wszystkich kolorów i uwiadomić mnie, czy pani przyjmiesz moją propozycyę?...

„P. S. Strzeż się pani pomieszać kolor ciemno różowy z różowo fioletowym, jaki miałem. Nie chcę go więcej, potrzeba mi czysto różowego, ale w ciemnym odcieniu."

Do trzeciego listu dołączony znów weksel ale niedostateczny, z przyrzeczeniem, że dług zapłacony będzie, gdy przyjdą lepsze czasy.

Oto rejestr przedmiotów dostarczonych przez pannę Bertę:

Szlafrok biały atłasowy, metr po siedm florenów. Także same sznury i kwasty.

Kamizelka i szarawary podbite atłasem białym.

Kołdra atłasowa, z jednej strony różowa z drugiej błękitna, pikowana w gałęzie, ogarnirowana rozetami ze wstążki różowej, za czterysta florenów.

Pomijamy mnóstwo obstalunków zapełniających następne listy. Wagner wdaje się w najdrobniejsze szczegóły co do szlafroków, ich kroju, koloru, podbicia i t. p. W jednym żąda sześciu par obuwia, niewiadomo bucików czy pantofli. Mają być atłasowe, w kolorach: białym, różowym, żółtym, niebieskim, paliowym i zielonym.

Rzecz widoczna jak wielką wagę przywiązywał maestro do tych zbytków. Nie była to jakaś jednodniowa fantazya, upodobanie w strojach, bo opanowawszy umysł Wagnera, stała się dla niego przedmiotem głębokich medytacyi!

FRAGMENT.

Z promiennych blasków, z kolorów tęczy,
Przyszłość dziecinie wróżyli;
A dziś kościelny dzwon smutnie jęczy:
Bo już na prędce,
W zbitej trumience,
Rodzice skarb swój złożyli.

Śpiewy pobożne, skargi i żale,
Spokój umarłych skłóciły;
Drgnęły, rozpierzchły powietrzne fale,
I jako posły,
Wkoło rozniosły,
Wieści od świeżej mogiły.

Chwila za chwilą pomknęła chyża,
Lecz ileż treści z tą chwilką?...
Znów pusto, głucho... pod cieniem krzyża,
Świeży kurhanek,
Ubrany w wianek,
Samotny świeci się tylko!

W. z Z.

OCIEMNIAŁA.

OBRAZEK ZE WSPOMNIEŃ LEKARZA

SKREŚLIŁ

Anatol Krzyżanowski.

Być lekarzem, dziś, gdy więcej jest prawie doktorów medycyny niż chorych, rzecz to zaiste nie zbyt godna zazdrości, zawód nie samemi usiany różami. W kapłaństwo jego nikt nie wierzy i co prawda słusznie. Zacieśnione szranki dla młodzieży, walka o byt, potrzeba pracy, brak chleba wreszcie, rzuciły na drogę tę, stosunkowo zyskowną, mnóstwo karyerowiczów, uczyniły niejednokrotnie z medycyny proste rzemiosło, zniżając ją do poziomu niegodnego ludzi nauki.

Wiedziałem to wszystko i powtarzałem sobie zarzuty tyle razy od innych słyszane, a jednak, gdy ukończywszy ostatecznie studya wracałem do kraju, zawód mój, obrany dobrowolnie a ukochany głęboko, zdawał się uśmiechać do mnie tak ponętnie, iż nie byłbym go za nic na inny zamienił. Suche badania, budzące w kolegach moich oschłość pewną i cynizm, mnie pozostawiły tym samym zawsze niepoprawnym entuzyastą, po części poetą, śledzącym z zajęciem dramata duszy ludzkiej, po części psychologiem, któryby ową duszę chciał wziąć pod skalpel nauki i zbadać w najsubtelniejszych objawach. Towarzysze moi śmieli się ze mnie. Jeżeli — mówili — chcesz studyować na żywych wzorach tę wieczystą zagadkę, tę toń niezgłębioną, która się duchem człowieka zowie, zostań księdzem lub prawnikiem. Przed ich dopiero okiem, występuje on w całej nagości.

Przeczyłem gorąco. Być księdzem, na to zbyt wielkich trzeba poświęceń, zbyt wielkiej abnegacyi i wyrzeczenia się praw własnych do szczęścia; prawnik zaś poznaje duszę ludzką najczęściej w patologicznych jej objawach, wykrzywioną żądzą złota, skalaną samolubstwem lub interesownością.

I znów zawód mój wydawał mi się najponętniejszym. Niestety jednak, były to tylko mrzonki młodzieńcze. Wśród mnóstwa chorych organizmów i ciał zbolałych, spotykałem tyle zatrutych żołądków, zwichniętych członków, bezkrwistych zepsutych płuc, iż wobec tego nawału nędzy fizycznej, nie miałem czasu ani myśli pytać o duszę moich pacyentów; wystarczało mi zupełnie, gdym ją chorą czy zdrową, dłużej w ziemskiej lepiance zatrzymać potrafił.

Cierpienia ludzkie spowszedniały mi, bóle i troski przestały wzruszać do głębi. Ja, który nie-

gdyś obarzałem się na szablonowy, rzemieślniczy sposób leczenia chorób z cierpienia moralnego wynikłych często, który obiecywałem sobie, być lekarzem-psychologiem, umiejącym obok liczenia pulsu, przeniknąć tajniki duszy ludzkiej, tak gdzie one mogły na przyśpieszenie pulsu tego wpłynąć, ja dziś przemyśliwałem jedynie o sposobach zaradzenia epidemicznej gorączce lub zapaleniu, o skwarnych wreszcie miesiącach lata, które mi trochę wytchnienia i odpoczynku przyniosą.

Proza zabiła marzenia, praca ciężka zniweczyła mrzonki teoretyczne. A jednak i proza ta posiadała chwile jasne, chwile, w których psycholog nagrodzony za trudy lekarza, odżywał na nowo.

Jedno z nich niezatarte w umyśle mym pozostawiło wspomnienie.

W mieście było chorych więcej niż zwykle; ostra zima przysparzała nam roboty, śmiertelne nieraz wywołując znużenie. Zmęczony, zaledwo powróciłem do domu na obiad, gdy silne szarpnięcie dzwonka i karta wniesiona przez lokaja, nowego zwiastowały mi gościa.

— Wiesz, że o tej godzinie nie przyjmuję — zaprzeczyłem żywo.

— Ten pan nie jest chorym — brzmiała odpowiedź. — Był tu już parę razy; dowodzi, że ma osobisty interes do pana doktora.

Ująłem za bilet.

— Władysław Łącki, stary kolega i przyjaciel! Ależ proś, proś natychmiast!

I nie czekając na spełnienie rozkazu, sam ku drzwiom pobiegłem. Władysław z wyciągniętemi dłońmi stanął równocześnie na progu.

Uścisk był długim, serdecznym; od lat sześciu nie widzieliśmy się wcale. Z listów tylko wiedziałem, że objąwszy rodzinny majątek na Ukrainie, ożenił się bogato, z kobietą piękną, którą ubóstwiał, a szczęśliwy w domowem pożyciu, otoczony nowemi obowiązkami, szanowany przytem i lubiony, zamknął się w kole ciasnej może, lecz pożytecznej, rozumnej działalności.

— I cóż cię tu sprowadza? — zapytałem towarzysza, gdy pierwsze minęły powitania. — Chęć zobaczenia nas, czy ważny jaki interes?

Łącki smutnie opuścił głowę.

— Przywiodło mnie do was... nieszczęście — wyszeptał. — Wiesz z listów moich, że się ożeniłem, wiesz czem ta kobieta jest dla mnie. Otóż Jadwinia ciężko zapadła na oczy...

— E, cierpienie przejściowe pewno.

— Lekarze miejscowi grożą wieczną ślepotą. Przerażony przywiozłem ją tutaj. Na miłość bozką, radź co możesz; jeżeli potrzeba powiozę ją do Paryża, Londynu, na koniec świata, gdzie każesz, byle na straszne nieszczęście znaleźć jakieś lekarstwo.

Naprożno tłomaczyłem, że nie jestem okulistą, a tu potrzeba wiedzy specyalnej. Władysław pamiętał to sam dobrze, odwoływał się zaś do mnie nie jako do lekarza, a jako do przyjaciela, znającego doskonale miejscowe sfery medyczne. Chciał bym wziąwszy chorą pod opiekę, sam pokierował kuracyą, bym zawezwał kolegów, ku którym największe mam zaufanie, a zwoławszy konsylium zadecydował, czy żona jego ma jechać szukać ulgi zagranicą, lub w kraju znaleźć ją może.

Obcy tu zupełnie, zgnębiony, niespokojny, zwracał się ku przyjacielowi lat młodych, ufny w pomoc jego, rozgłos pewien i doświadczenie.

Chcąc usprawiedliwić wiarę głęboką, pokładaną we mnie, udałem się z nim bezzwłocznie do hotelu.

Obraz jaki mnie tu spotkał, należał do tych, które na człowieku najbardziej nawet oswojonym z ludzkiem cierpieniem, muszą silne wywołać wrażenie. W wytwornym salonie, umeblowanym z banalną hotelową elegancyą, w pośród rozstawionych kufrów podróżnych i rozrzuconych na dywanie zabawek, oczy moje uderzyła grupa z trzech osób złożona. Znużony ciszą i ciemnością, okna bowiem były silnie przysłonięte, chłopczyk niewielki, 6 letni może, wdrapawszy się na krzesło, główkę wsadził pod uniesioną lekko storę, śledząc ciekawie nieznany sobie ruch i wir na ulicy. W promieniu światła, utworzonym przez sztuczną tę szczelinę, widniało dalej o rok może młodsze dziewczątko, istny cherubinek; złote loczki opadały jej na błękitną, krótką sukienkę, cieniutkie, delikatne nóżki niecierpliwie przebierały po posadzce, drobne zaś rączki zarzucone na kolana leżącej na otomance kobiety, pociągały ją ku sobie.

Władysław zatrzymał mnie na progu przyległego pokoju.

— Mamusiu!—wołał cherubinek natarczywie.— Mamusiu, dlaczego nie chcesz iść do okna? Tam tak jasno, tak ślicznie, tyle pięknych pań jedzie. Czy mamusia nie może ich zobaczyć, mamusia nic już nie widzi? Tam tak wesoło, a tu tak smutno, ciemno!

Z piersi kobiety głuche wyrwało się łkanie.

— Ale mamusia mnie widzi jeszcze? — nalegała maleńka z okrucieństwem bezwiednem, a dzieciom właściwem. — O, tu, tu, musi mnie mamusia widzieć, bo przecież tak blizko stoję.

Chora podniosła się i wyciągnąwszy ramiona dziecię ruchem gwałtownym, namiętnym do piersi przytuliła.

— Widzę, mój skarbie jedyny — wołała osypując główkę jej pocałunkami — widzę jeszcze, lecz wkrótce może już nigdy nie zobaczę.

Spojrzałem na Władysława; w męzkiem jego oku łza błyszczała. Szarpnął się, a wyszeptawszy:

— Oni ją zamęczą — szybko wszedł do salonu.

— Jadwiniu — wyrzekł, ujmując rękę żony — przyprowadzam ci gościa, Adama S. Przychodzi on tu nietylko jako lekarz, ale przedewszystkiem jako stary kolega i przyjaciel.

Na dźwięk nazwiska mego, znanego snać dawniej, drgnęła gwałtownie, wypuszczając jednak dziecię z ramion podniosła się, by serdecznie ku mnie wyciągnąć rękę.

— Żałuję — wyrzekła drżącym głosem — żem pana wpierw poznać i... zobaczyć nie mogła.

Gdy wysmukła stanęła przedemną, wzrok mój, teraz dopiero oswojony z panującym tu pół mrokiem, mógł lepiej rozróżnić jej rysy. Była młodą i piękną bardzo, tą urodą, której czar główny nietylko na czystości linii i kolorycie, ale na wyrazie zależał. Jakiś smutek głęboki, bezmierny, piętnował lica jej bladością pokryte. Czoło ciemnemi okolone splotami, zdawało się wskazywać myśl inteligentną, usta siłę woli i słodycz zdradzały zarazem. W chwilach zdrowia bardzo musiała być piękną. Dziś oczy zamdlone, błękitnemi przysłonięte szkłami, ukrywały duszę ożywiającą delikatne, chorobą wycieńczone ciało.

Z początku rozmowa o obojętnych toczyła się rzeczach; w końcu Władysław zadzwonił na bonę, by zabrała dzieci. Był to znak do rozpoczęcia konsultacyi lekarskiej; przyjaciel mój jednak usunął się od niej; bał się snać zdradzić uczuć własnych, pocałowawszy bowiem żonę w rękę, wyszeptał ściskając dłoń moją:

— Przez litość dodaj jej ducha i odwagi. Będę czekał na wyrok twój u siebie.

Przystąpiłem do zbadania całego organizmu i oczów chorej.

Niestety, stan ich nie pozostawiał żadnej wątpliwości. Był to rodzaj katarakty tak zwanej miękkiej, pochodzącej ze skurczy mięśni oka. Co ją spowodowało, czy ogólne osłabienie i stan hysteryczny, jakiemu chora długo podlegała, lub też jakieś nagłe uderzenie oka, dziś trudno było osądzić, tego rodzaju katarakty bowiem, w kilka godzin niekiedy rozwijają się powstając.

Ukończywszy badanie, zamyślony, rozważałem właśnie sposoby ratunku, gdy drobna, rozpalona rączka spoczęła na moich dłoniach.

— Doktorze — wyszeptała chora błagalnie — doktorze, nie ukrywaj nic przedemną, powiedz, wszak wieczna grozi mi ślepota?

Spojrzałem w piękne, blade jej rysy i litością zdjęty próbowałem zaprzeczyć, mocą w medycynie poczerpniętych argumentów.

— O, nie łudź mnie pan — przerwała — nie probój zwodzić nagromadzeniem naukowych określeń. Mnie nie o nazwę choroby a o istotę jej chodzi. Powiedz pan, czy ta noc, która stopniowo ogarnia me oczy, wiecznie, wiecznie już trwać będzie? Czy mając lat 26 zaledwo, mam przestać żyć dla świata, nie widzieć nigdy słońca, nie zobaczyć dzieci mych własnych nawet? I za cóż ten Bóg, którego mienicie sprawiedliwym, tak ciężką zsyła mi karę, za jaki grzech niepopełniony pogrąża w taką otchłań niedoli?

Łkanie tłumione całą wstrząsało jej postacią, Rozgorączkowana, zrozpaczona, nie była w stanie panować nad nurtującym ją bólem moralnym. Widząc jak istota jej cała rwie się do życia, jak młody organizm buntuje się na myśl kalectwa równe go śmierci moralnej, postanowiłem nie ukrywać przed nią ciężkiej, lecz nieuniknionej prawdy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

PRZEZ

Ludwika Niemojowskiego.

Jestem literatem, krotochwila w 3-ch aktach, napisał Józef Łoziński.

Wiadomo powszechnie, iż obecnie chorujemy na manię zostania wielkimi, a skutkiem tej chronicznej słabości XIX stulecia, mnożą się u nas obchody jubileuszowe dla uczczenia niepowołanych w sposób iście zatrważający. Boć jakże, pytam, przyjdzie nam w danej chwili nagrodzić tytanów pracy, pierwszorzędnych myślicieli, pionierów nauki, jeżeli lada jednostka, przy miernych zdolnościach, problematycznej intelligencyi i szczupłych zasobów wiedzy, znajdzie zawsze prozelitów gotowych do wyniesienia na piedestał sławy, jej mniemanych zasług?

Po uroczystym jubileuszu pół wiekowych prac na polu literatury przez najpłodniejszego z naszych pisarzów J. I. Kraszewskiego dokona-

nych, znalazły się setki liliputów pragnących ozdobić wieńcami swe czoła i nastała powódź jubileuszowa; dziwić się zatem nie można, iż wnuk wielkiego męża oburzony temi ubliżającemi pamięci jego dziadka objawami, w pierwszym swym dramatycznym utworze, chłoszcze rózgą satyry wspomnianą wadę, piętnując śmiesznością tych maluczkich, którzy nie odróślszy od ziemi pragną koniecznie przybrać na siebie zasługę olbrzymów.

Treść krotochwili jest następująca:

Pan Kręgielewicz ma brata wielkiego oryginała, który synowcowi swemu Józefowi obiecuje udzielić część majątku za życia pod warunkiem, iż ten pojmie za żonę córkę jakiego o rozgłośnem imieniu człowieka. Że zaś pan Ciurałkiewicz, obywatel o nader miernych zdolnościach i niedokończonej edukacyi, posiada w domu posażną jedynaczkę, stara się wpływem swoim przy pomocy życzliwych i przyjaciół uczynić go sławnym, urządzając dla prostodusznego safanduły wspaniały jubileusz. Zamiar jego udaje się pod względem wykonania, ale nie przynosi pożądanych rezultatów, bo panna Wanda Kręgielewiczówna oddała już swe serce hr. Teodorowi, a szałaput Janek zagustował we wdziękach panny Heleny Rzeckiej. Ślub obudwóch zakochanych par po różnych przeszkodach przychodzi w końcu do skutku, Ciurałkiewicz zaś nie znalazłszy wydawcy na swoje ramoty, wyrzeka się niezasłużonego zaszczytu zostania literatem.

Oprócz głównie działających osób, wchodzi jeszcze do sztuki kilka innych, które mają jaki taki związek z akcyą i mnóstwo figurantów: ci ostatni zapełniają salę bez wpływu na rozwój intrygi. Kierować taką armią indywiduów, z których każdemu trzeba nadać jakieś odrębne zarysy, stanowić może trudny do przezwyciężenia szkopuł nawet dla wytrawnego autora, cóż dopiero mówić o pracownikach nieobeznanych dostatecznie z machineryą sceniczną? Że pan Łoziński manewrując tak licznemi zastępami wykonawców swego utworu, nie popadł w chaos, to już na jego korzyść przemawia; sądzimy jednak, iż usunięcie choćby jakiej części z 24 wchodzących na widownię osobistości, wypadłoby korzystnie dla sztuki, należałoby również skrócić niepomiernie długi akt pierwszy, przez wykreślenie niepotrzebnych a niemających nic wspólnego z przewodnią ideą epizodów.

Pomimo jednak owych powszechnie przez poczynających dramaturgów popełnianych błędów, krotochwila pana Łozińskiego posiada sporo swojskiego humoru i naturalnej werwy. Niektóre sceny przeprowadzone są nader gładko, parę sytuacyi obmyślane starannie, a komizm okraszony czasami dozą prawdziwego dowcipu, nieprzechodzi nigdy w niesmaczną szarżę.

Jednem słowem wrażenie jakie wynieśliśmy opuszczając salę teatralną, jest z małemi zaznaczeniami dodatniem. Wnuk naszego nieodżałowanego powieściopisarza posiada talent, a takowy przy nabraniu rutyny i odpowiedniego doświadczenia, rozwinąć się może z pożytkiem dla sztuki.

Artyści teatru małego odegrali krotochwilę wogóle dobrze, sceny zbiorowe drugiego aktu poszły żwawo i gdyby nie zbyt wolne tempo akcyi, szczególnej w początkach pierwszego aktu, nie mielibyśmy prawa uczynić im żadnego zarzutu.

Szczególniej odznaczyli się wyborną grą: pan Sikorski i panna Micińska, jako przedstawicielka dewotki Sztambuchowskiej.

Zawsze mile widziani na scenie panowie Morozowicz i Grubiński, dostawszy tym razem zupełnie nieodpowiednie dla siebie role, niewywołali właściwego efektu, pierwszy przez brak pewnego butnego zacięcia, drugi dla niedostatecznej siły organu głosowego.

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Dawniej jeśli wydawał za wiele pieniędzy, to był kawalerem i rozumiem na co tracił. — Mówiła babcia. — Lecz dziś gdy się ożenił, ustatkował, spoważniał... Powiedz mi Heleno czy ty nic nigdy nie dostrzegłaś?

— Nic zgoła.

— Więc twój mąż ma przed tobą tajemnice?

— Wszakże miał je i przed babcią.

— To prawda. Widzisz kochanko ja już sama nie wiem co mówię; straciłam głowę zupełnie.

Staruszka wstała z fotelu i niespokojnym krokiem zaczęła chodzić po pokoju. Przechodząc koło lustra spojrzała weń machinalnie i zawołała z przestrachem:

— Ah Boże! jakże ja wyglądam!

I poprawiając czepeczek wyszła czemprędzej do siebie. Po południu przyjechała Emilia. Właśnie tego dnia rano udała się do ojca z prośbą, aby wyratował Ludwika. Wiemy już jak Lereboulley przyjął słowa córki, to też biedna Emilia nie mogła jeszcze ochłonąć ze wzruszenia, teraz nie miała już prawie żadnej wątpliwości i nie zapytała nawet o Ludwika.

Starsza pani Hérault dostrzegła natychmiast tę zmianę w postępowaniu młodej dziewczyny.

— Dlaczego nie pytasz się o Ludwika? — spytała ją nagle.

Panna Lereboulley nie straciła zimnej krwi i odparła spokojnie:

— Ah, prawda, zapomniałam o tem... Spodziewam się, że Ludwik ma się dobrze?

— O! bardzo dobrze — odparła sędziwa pani Hérault — tak dobrze, że przetracił prawie wszystko co zebrał jego dziadek i ojciec.

— Wiem to już od wczoraj a przewidywałam od bardzo dawna.

— W takim razie musisz wiedzieć również jak i dlaczego rzucił się w te głupie spekulacye?

Emilia twierdząco skinęła głową.

— Wytłomacz-żeż mi to moje dziecię, bo ja nic a nic tego nie rozumiem. Głupota czy występek doprowadziły go do tego? Powiedz, chcę wiedzieć wszystko.

Helena zerwała się z krzesła i stanęła między Emilią i babcią, Myśl, że ta ostatnia dowie się o błędach wnuka, że będzie go ganić a może nawet i pogardzać nim, obudziła dumę w sercu Heleny. Zawsze to był jej mąż, drugie jej ja i Helena czuła, że część nagany i pogardy spłynęłaby i na nią. Błagalnie złożyła ręce chcąc zmusić Emilię do milczenia, lecz babcia dostrzegła jej ruch i surowym zmierzyła ją wzrokiem.

— Chcesz przedłużać moją nieświadomość? — rzekła. — I dlaczego? Czyżby odpowiedzialność naszego nieszczęścia ciążyła i na tobie również? Czy oszukiwałaś mnie wspólnie z mężem? Może i ty jesteś winowajczynią?

Na te okrutne i niesprawiedliwe słowa, krzyk boleści wydarł się z piersi Heleny i zwracając się do Emilii, jakby ją chciała powołać na świadectwo, zawołała:

— Ja mam być winną?

Wtedy staruszka wyprostowała przygarbioną postać a twarz jej przybrała wyraz męztwa i szlachetności. Utkwiła badawczy wzrok w młodej kobiecie i spytała z powagą:

— Jeśli potępiłam cię niesłusznie, staraj się usprawiedliwić... Jestem waszą babką i mam prawo wiedzieć wszystko, twoim obowiązkiem jest wyjawić mi całą prawdę.

— Nie, wymagasz pani od niej zbyt przykrej rzeczy — zawołała Emilia. — Helena dumna i wspaniałomyślna ukrywała przed tobą błędy męża i z moich ust dopiero dowiesz się o wszystkiem.

I pomimo błagalnych próśb Heleny, panna Lereboulley zaczęła opowiadać dzieje męczeńskiego od roku życia młodej kobiety, które ta ostatnia znosiła bez skargi jedynie w celu oszczędzenia babce wiadomości o szalonych postępkach ukochanego wnuka. Powiedziała jej wszystko: zdradę i opuszczenie męża, poniżenie na jakie naraził żonę wobec kochanki, wymownemi słowy odmalowała cierpienia i zniewagi przez jakie przeszła Helena, unosiła się nad jej cierpliwością i słodyczą, ale za to nie szczędziła barw ciemnych dla Ludwika, który okazał się po raz pierwszy zdumionym oczom staruszki takim jakim był w istocie, to jest bez serca, małodusznym, nikczemnym człowiekiem. Diannę również zmieszała z błotem. Chwaliła męztwo, dumę i anielską dobroć Heleny i w jednej chwili pomściła ją za wszystko co wycierpiała.

Gdyby piorun upadł u nóg staruszki, nie byłaby bardziej zdumiona jak teraz, słuchając słów Emilii. Przyzwyczaiła się od sześćdziesięciu lat uważać przedstawicieli rodu Héraultów, zacząwszy od swego męża skończywszy na synu i wnuku, jako istoty lepsze i doskonalsze od innych, którym wszyscy winni szacunek i posłuszeństwo, aż tu nagle wszystko w innem przedstawiło jej się świetle. Ufność jej i miłość odrazu podkopane zostały, zdawało jej się, że nic już nie ma stałego na świecie. Majątek przepadł, honor był zagrożony a szczęście zniknęło nazawsze. Jak rozbitek zbłąkany wśród burzy szuka strwożonym wzrokiem środków ocalenia, tak biedna staruszka spojrzała na Helenę smutną, poważną ale bynajmniej nie zrozpaczoną. Wtedy przystąpiła do niej i uchyliła przed nią siwą głowę.

— Moje dziecię — rzekła — nie poznałam się na tobie. Obwiniałam cię, a wszystko złe, które tak mężnie znosiłaś z mojej wynikło winy. Chciałam zapewnić ci majątek i szczęście a uczyniłam cię biedną i nieszczęśliwą. Przebacz mi!

I wyciągnęła ku Helenie ramiona. Z okrzykiem czułości młoda kobieta rzuciła się w jej objęcia.

— Myślałam, że wiele uczynię dla ciebie, a tymczasem ja tobie wszystko zawdzięczać będę — ciągnęła dalej staruszka. — Nie odmówisz mi przywiązania i litości i dopomożesz do mężnego znoszenia ciężkiego smutku, który zatruł ostatnie dni mego życia. We dwie łatwiej oprzemy się niesz-

częściu, jakie to nieszczęśliwe dziecię ściągnęło na nasze głowy.

Byłaby jeszcze dłużej mówiła w ten sposób lecz Helena dłonią zamknęła jej usta i zaczęła mówić z szacunkiem i czułością zarazem.

— Nie bądź tak nielitościwą babciu i nie uważaj Ludwika za bezpowrotnie zbłąkanego grzesznika. Zwolna doprowadziemy go do rozsądku, przy nas odzyska spokój i prawość. Nawet w najstraszniejszych chwilach życia, nie straciłam wiary w niego. Prawda, że Ludwik stał się dla mnie powodem okropnych cierpień, kocham go jednak a miłość nie wyrzeka się nigdy nadziei. Nie przeczę, że popełnił on wiele błędów i szaleństw, ale przebaczenie nasze zatrze je a męztwo dopomoże mu do poprawy. Powinnyśmy być pobłażliwe, wszak to twój wnuk a mój mąż. Widzisz babciu posłannictwem kobiet na ziemi jest byćosłodą, pociechą i podporą mężczyzn.

— Ah! moja córko, ty jesteś aniołem! — zawołała pani Hérault zalewając się łzami—słowa twoje dodały mi otuchy... Ale gdzież jest Ludwik?... co robi?... powinienby już powrócić...

— Może nie śmie pokazać się w domu, domyśla się bowiem, że wiemy już o wszystkiem. Ale uspokój się babciu... Wkrótce zapewnie Ludwikdanam wiadomość o sobie.

— Wszystko to bardzo pięknie ale jakim sposobem podźwigniemy go z kłopotów finansowych?

— Oddamy dłużnikom wszystko co posiadasz babciu, jak również i mój posag, jaki Ludwik zapewnił mi przy ślubie. Postaramy się tylko ocalić fabrykę, która była źródłem waszego majątku i na której i my dorobić się możemy.

Babcia podniosła ręce w górę na znak podziwu i uwielbienia.

— Co za kobieta z ciebie! — zawołała. — Ale jak dojść do tego upragnionego celu?

Helena uśmiechnęła się i rzekła z głębokiem, niezłomnem przekonaniem:

— Miejmy tylko silną wolę a wszystko pójdzie dobrze.

I zaczęła tworzyć rozmaite projekta budując na gruzach zburzonego przezLudwika gmachu, gmach nierównie trwalszy i świetniejszy. Odważna i śmiała, myślała już o walce, pomimo grożącego jej zewsząd niebezpieczeństwa, a szlachetna jej dusza teraz dopiero zajaśniała blaskiem cnót najwznioślejszych. Zwolna uspokoiła obawy babki i zachwyciła czynny umysł Emilii a sama zyskała przynajmniej tę pociechę, że myśląc o przyszłości zapomniała na chwilę o rozpaczliwem położeniu obecnem.

Około godziny czwartej po południu Emilia odjechała, obiecując wpaść jeszcze wieczorem. Helena pozostała sama, zmrok zapadał i w salonie było już szaro a zwiększająca się z każdą chwilą ciemność, zbudziła dziwną trwogę w sercu młodej kobiety. Nadzieja jaką ukazała pani Hérault wydawała jej się bynajmniej nieuzasadnioną i ze smutkiem wyrzucała sobie, że umyślnie zamyka oczy na niebezpieczeństwo a cała przyszłość przedstawiła jej się w najczarniejszych barwach.

Mąż nietylko nie wracał ale nawet nie dawał o sobie żadnej wiadomości, czyż to nie dostateczny powód niepokoju? Znając słabość charakteru Ludwika, wiedziała że nieszczęście pognębi go zupełnie i popchnie może do jakiego szalonego kroku. Ogarnęło ją zniechęcenie i rozpacz. Pustka i cisza zalegająca pokój przerażały ją niewymownie. Zimny dreszcz wstrząsał jej ciałem, trwoga szarpała sercem, które biło jak młotem a pot kroplisty spływał po czole. Przeczuwała niebezpieczeństwo chociaż nie wiedziała z której uderzy strony. Podniosła się z krzesła, aby wyjść z tego pokoju, który wydawał jej się smutnym i ponurym jak grób.

W tejże chwili drzwi się otworzyły i panna służąca wniosła lampę. Promienie światła zalewając całą komnatę spłoszyły ponure myśli Heleny. Olśniona przymknęła oczy a gdy je otworzyła po chwili, ujrzała przed sobą na małej srebrnej tacce list jakiś. Podjęła go z żywością i zaczęła przypatrywać się charakterowi pisma, lecz odsunęła go wkrótce z niechęcią, gdyż to nie była ręka Ludwika. Niepokój na nowo owładnął jej sercem, obojętnie rozerwała kopertę i zaczęła czytać.

Nagle przygasłe jej źrenice błysnęły ogniem a szkarłatny rumieniec wystąpił na lica; krzyknęła i potarłszy ręką czoło zaczęła czytać powtórnie:

„Mąż twój o którym mniemasz, że jest w Londynie, powrócił wczoraj do Paryża. Jutro zaś ma zamiar wyjechać do Włoch, z kim, domyślisz się chyba łatwo. Jeżeli chcesz się z nim zobaczyć, znajdziesz go u pana de Thauziat, gdzie się ukrywa przed tobą.”

List wysunął się jej z ręki a nawał sprzecznych myśli z przerażającą szybkością krzyżujących się w głowie na chwilę pozbawił ją przytomności. Wkrótce jednak odzyskała spokój siłą woli i zastanowiła się nad swem położeniem.

Z początku zdawało jej się, że wszystko już stracone, wiara z takim trudem wzniesiona na gruzach zawiedzionego życia, rozsypywała się w proch pod tchnieniem nienawiści, a nieprzyjaciołka jej tryumfowała zabierając Ludwika. Ale męztwo nigdy na długo nie opuszczało Heleny. Zaledwie wyobraźnia przedstawiła jej męża, porzucającego ją w tak okropnej chwili, kiedy właśnie honor wymagał, aby stał niezachwiany przy rozpadającym się majątku, a już umysł jej szukał sposobu zatrzymania uciekającego. Ogarnęła ją wściekłość, której nie powstrzymywała wcale, opustoszałe domowe ognisko przejmowało ją zgrozą, jakieś krwawe widziadła przesuwały się przed jej wzrokiem a w myśli błysnął zamiar zabicia nienawistnej rywalki. Jakto, czy nie dosyć już spotkało ją nieszczęść, że jeszcze teraz ma pozostać samą w życiu, gorzej niż wdową a dziecię sierotą? Ta niegodziwa kobieta będzie włóczyć za sobą wszędzie jak niewolnika męża i ojca, wydartego na wieki rodzinie!

— Wolałabym go widzieć na marach! — zawołała głośno w uniesieniu, lecz przeraziła się dźwiękiem tych strasznych wyrazów i dodała natychmiast:

— Nie, ja go potrafię wydrzeć tej kobiecie!

Krew która przed chwilą lodem ścięła się w jej żyłach, teraz zaczęła krążyć żywo, podniecając gwałtowność myśli. Powiedziała sobie, że na wszystko się odważy i musi dojść do zamierzonego celu. Gwałtowna gorączka paliła ją wewnątrz i nie pozwoliła ani chwili posiedzieć na miejscu. Zaczęła więc chodzić po pokoju, wymawiając jakieś urywane słowa.

Niegodziwy list z szatańską przebiegłością nasunął jej na myśl, aby poszła szukać męża i postanowiła skorzystać z niej, gdyż bądź co bądź należało przeszkodzić jego wyjazdowi. Wiedziała jaki wpływ miała na niego, przypomniała sobie jak drżący i skruszony płakał u jej stóp, prosząc ją o wsparcie i radę, jak dziecię wzywające opieki matki. Pójdzie więc do niego, a skoro spotka się z nim oko w oko, potrafi choćby przemocą zwalczyć jego opór i zmusić go, aby poszedł za nią. Czuła w sobie nadludzką jakąś siłę, zdawało jej się, że chwyci go w ramiona i wydrze niegodziwej kobiecie. Wkrótce jednak rozsądek ostudził jej gniew i z innej strony przedstawił tę kwestyę. W liście napisano jej żeny szukała męża u pana de Thauziat i słowa te wzbudziły podejrzenie w umyśle młodej kobiety. Kto wie czy nie zastawiono na nią sideł? Może ten, który ją kochał zawsze, porozumiawszy się z niegodziwą Dianną, wynalazł sposób sprowadzenia jej do siebie.

Podniosła list i jeszcze raz z uwagą zaczęła przypatrywać się charakterowi pisma, lecz ręka była jej zupełnie nieznaną; pani Olifaunt tak zręcznie zmieniła pismo, że nawet badawcze oko Heleny nie odgadło pochodzenia listu. Napróżno gubiła się w domysłach, czy pisał do niej przyjaciel czy nieprzyjaciel. W pierwszej chwili chciała wezwać rady Emilii, ale przypomniała sobie, że raz już Emilia wyprowadziła ją w pole i dopomogła Ludwikowi do oszukania jej, mogłaby więc i teraz uczynić to samo przez przywiązanie do niej i chęć uchronienia jej od scen gwałtownych i nieprzyjemnych.

Przecież mogła i sama udać się do mieszkania Klemensa. Jeśli Ludwik znajdował się u niego nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo a choćby nawet zastała samego de Thauziat to i tak wobec zagrożonej przyszłości nie miała czego się wahać. Zresztą powiedziała sobie z pogardliwym uśmiechem, że ponieważ nigdy w życiu nie lękała się niczego i dziś trwoży się niepotrzebnie; ten tylko bowiem mógł ją zwyciężyć kogo kochała i za kim przemawiało jej serce, lecz walcząc w obronie swojej miłości z góry pewną była zwycięztwa.

Uspokojona już zupełnie kazała zaprzęgać do powozu, gdyż nie chciała bynajmniej, aby jej bytność u Klemensa miała jakiś pozór tajemniczości i pogładziwszy włosy otuliła się płaszczem i wyszła.

Wysyłając listy Dianna, doskonale naprzód obliczyła następstwa swej intrygi. Klemens nie wychodził nigdy z domu przed drugą po południu, Helena zaś od wyjazdu męża wcale prawie nie wydalała się z pałacu; powinni zatem oboje odebrać listy we właściwym czasie.

Około godziny trzeciej po południu de Thauziat siedział u siebie w głębokiej pogrążony zadumie; cisza i spokój usposabiały go do marzeń. Komnata w jakiej się znajdował dowodziła o zamożności i wykwintnym guście właściciela. Ściany pokrywał aksamit w zielone gałązki na tle srebrzystem, w pośrodku pokoju stał stół i krzesła rzeźbione w stylu Odrodzenia. Klemens wsparł czoło na dłoni i przymknąwszy oczy zdawał się drzemać.

Nie sen jednak lecz różnorodne myśli obezwładniały go do tego stopnia, że siedział nieruchomy i obojętny. W południe otrzymał list Dianny w którym prosiła go, aby nie wychodził z domu i czekał, ale na co, nie objaśniła go wcale. Jakiś tajemny instynkt szeptał mu, że chodziło tu o Helenę i Ludwika i zwolna myśl jego przeniosła się w krainę marzeń, gdzie złudzenie przejmowało go szczęściem. Rzeczywistość znikła mu z oczu. Poważna surowość komnaty w której spędził tyle smutnych wieczorów, złagodniała nagle, gdyż urocza postać kobieca przesuwała się po niej z wdziękiem i lekkością. Wszędzie, gdzie tylko zwróciła się ta postać, wykwitała radość i szczęście, jakieś nadziemskie światło promieniało z jej twarzy a szelest sukni rozkoszą napełniał serce. Gdy się zbliżała, Klemens wyraźnie rozpoznawał lica Heleny i wzruszony spoglądał na nią z miłością, ona zaś nie chłodna i obojętna jak dawniej, lecz czuła

i ufna wyciągała do niego ramiona. Serce młodej kobiety przeszło przez ciężką próbę cierpienia i razem z ranami krwawiącemi się w niem, spłynęła miłość i przywiązanie do Ludwika. Zrozumiała, że poszła fałszywą drogą i nabywszy doświadczenia cofnęła się teraz, a widząc niezmienną miłość człowieka, który ją kochał oddawna, spokojna, szczęśliwa nowe z nim rozpoczęła życie.

Ukołysany temi czarownemi widziadłami Klemens, siedział nieruchomy upajając się rozkoszą do której napróżno wzdychał w rzeczywistości. Dźwięk zegara wydzwaniającego godzinę czwartą, wyrwał go z zadumy.

Powstał i z westchnieniem potarł dłonią czoło. Zmrok zapadał i na ulicy zapalono już gazowe latarnie, Klemens stanął przy oknie i w zamyśleniu ścigał wzrokiem przechodniów śpieszących się w różne strony.

Był rozdrażniony i niespokojny jakby w oczekiwaniu ważnego jakiego wypadku. Sam nie umiałby określić uczuć i myśli miotających jego sercem; nieokreślona tęsknota i rzewny jakiś smutek rozstrajały mu nerwy.

Było już może po piątej, gdy powóz jakiś zatrzymał się przed pałacem. Przez okno wychyliła się głowa kobiety, której jednakże zmrok nie pozwolił rozróżnić rysów twarzy i wydawszy rozkaz lokajowi, cofnęła się natychmiast.

Thauziat czuł, że mu tchu w piersiach brakuje; tajemny głos jakiś szeptał mu w duchu:

— To ona! Marzenie twoje staje się rzeczywistością.

Krew falą uderzyła mu do głowy, zaczął nadsłuchiwać i wkrótce uszu jego doszedł dźwięk dzwonka, radosnem echem odbijając się w jego sercu.

Lekkie kroki dały się słyszeć na schodach, drzwi się otworzyły i wszedł służący. Thauziat był tak wzruszony, że nie mógł słowa przemówić, nerwowy dreszcz wstrząsał całem jego ciałem, nogi uginały się pod nim. Z niecierpliwością czekał zapytania służącego a nie śmiał go badać. Wreszcie lokaj spokojnym, miarowym głosem zapytał:

— Pani Hérault pyta czy pan jest w domu i czy może ją przyjąć?

Czoło Klemensa rozpogodziło się nagle; nadzieja nie zawiodła go, w istocie była to Helena. Milczącem skinieniem głowy odpowiedział służącemu i uchylając aksamitnej portyery, przeszedł do sąsiedniego salonu, gdzie dwie lampy paliły się nad kominkiem. Tu zatrzymał się drżący z radości i niepokoju. Wkrótce dał się słyszeć szelest jedwabiu, drzwi skrzypnęły zlekka i Helena spokojna lecz nieco bledsza jak zwykle znalazła się w obecności Klemensa, witającego ją z powagą i szacunkiem. Thauziat przysunął jej krzesło, Helena jednak nie chciała usiąść i spytała bez żadnego wstępu:

— Dano mi znać, że mój mąż znajduje się u pana... Bądź pan łaskaw uprzedzić go o mej obecności.

Zdumienie odmalowało się na twarzy Klemensa, lecz obawiając się spłoszyć młodej kobiety, odparł łagodnie nie ruszając się z miejsca:

— Pyta mnie pani o męża, ja go już nie widziałem przeszło tydzień. Nie wiem nawet czy jest w Paryżu, w każdym razie upewniam panią, że u mnie go nie ma.

Helena dumnym zmierzyła go wzrokiem.

— Któż zwodzi mnie zatem? Czy mój tajemniczy korespondent, czy pan?

— Ja? — zawołał z akcentem takiej szczerości w głosie, że niepodobna było posądzać go o udanie.—W jakimże celu miałbym zwodzić panią?

A gdy Helena milczała, dodał z szacunkiem i stanowczością w głosie:

— Uważaj się pani jak we własnym domu. Zadzwoń na służbę i badaj ją sama! Może prędzej uwierzysz słowu moich domowników niż mojem zapewnieniom.

Helena osunęła się na krzesło i szepnęła stłumionym głosem:

— Przebacz mi... Jestem tak nieszczęśliwą!

Klemens pochylił się jakby chciał przed nią upaść na kolana. Helena powstrzymała go ruchem ręki i oddychając z trudnością tak ciągnęła dalej:

— Powiedz mi pan szczerą prawdę. Nie wiem co dzieje się koło mnie ale czuję, że wbrew mojej woli, fatalność jakaś popycha mnie w przepaść. Może dość byłoby jednego z serca płynącego słowa, jednej szlachetnej rady, abym uniknęła niebezpieczeństwa... Proszę cię oświéć mnie i wspomóż.

Thauziat przecząco wstrząsnął głową.

— Czy to ja powinienem cię, pani, bronić przeciwko temu kto jest naturalnym swoim obrońcą?— spytał z goryczą. Nie rozumiem jaką rolę każesz mi pani odgrywać.

— Rolę do której sądzę, że jesteś zdolny. Wiem że jesteś szlachetnym, wspaniałomyślnym człowiekiem i że dla poratowania innych zapomnisz o własnych cierpieniach i doznanych krzywdach.

— Nie myśl pani, że jestem tak dobry! — odparł. — Cierpiałem wiele, nieraz długie godziny zastanawiałem się nad sobą i dużo, dużo straciłem złudzeń. Jeżeli liczyłaś na to, że zdobędę się na jaki romantyczny czyn poświęcenia, to zawiodłaś się pani bardzo. Byłem nieszczęśliwy i nie chcę cierpieć jeszcze więcej dla przyniesienia ulgi drugim.

Żywy niepokój odbił się na twarzy Heleny, ale wprędce zapanowała nad sobą i rzekła z uśmiechem:

— Nie obawiaj się pan! Jestem pewna, że z ochotą poniósłbyś największą ofiarę, aby mnie tylko oszczędzić zmartwienia.

Klemens spojrzał na nią z uczuciem.

— Ah! jak pani znasz władzę, jaką masz nade mną — rzekł z namiętnym akcentem w głosie. — Prawda, że kocham cię tak silnie, iż za jeden twój uśmiech bez wahania odałbym życie.

Zapał z jakim Klemens wypowiedział te słowa, zaniepokoił Helenę. Chciała się podnieść i oddalić jak najprędzej, lecz myśl, że nie dowie się nic o Ludwiku zatrzymała ją na miejscu. Postanowiła tylko chłodem swoim powstrzymać dalsze zwierzenia Klemensa.

— Nie żądam od pana ofiary życia — zaczęła swobodnie — pytam się tylko gdzie jest mój mąż?

— Gdzież może być jeśli nie u pani Olifaunt.

Helena zbladła, usta jej drżały nerwowo, nie straciła jednak odwagi.

— A więc poślij pan po niego...

— I na cóżby się to zdało?

— Choćby tylko na dowód, że starasz mi się przypodobać.

Słowa te Helena wymówiła z pieszczotliwym wdziękiem. Chciała oczarować Klemensa i zmusić go, aby sprowadził Ludwika, a widząc że Thauziat milczy chmurny i zafrasowany, uśmiechnęła się do niego i wyciągnęła błagalnie złożone dłonie:

— Czyżbym napróżno zwracała się z prośbą do pana?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WIADOMOŚCI
Z RÓŻNYCH STRON.

Przed kilku dniami, *Panna* z podpisem *niedoświadczona*, ogłosiła w Kuryerze Warszawskim zapytanie: *Czem się powinna zająć niebogata panna? Czy lepiej składać egzamin na patent gimnazyalny, czy też uczyć się rzemiosła i które z nich jest najwięcej poplacającem?*

Jest to kwestya niezmiernie ważna, z nadsyłanych odpowiedzi Redakcya obiecuje sprawozdanie a później wydanie oddzielnej rozprawy, obejmującej w streszczeniu wszystkie poglądy na sprawę tę w odpowiedziach pomieszczone.

Pomimo jednak ważności i przygotowań poważnych do jej rozjaśnienia, nie sądzimy, aby kwestya sama była tak zawiłą, iżby wymagała aż publicznej dyskusyi. Nie zaszkodzi jej ale i nie rozwiąże w ten sposób, aby odpowiedź stanowiła receptę zaopatrującą biedną pannę w obfitość chleba i w nieznane jej przedtem dostatki.

Na świecie nie ma zajęcia w któremby pewne jednostki niedochodziły do względnej zamożności a nawet bogactwa. Znam żebraków, którzy z datków jałmużniczych przyszli do posiadania kapitalików o nawet kapitałów.

Znam wszelkiego rodzaju rzemieślników, przemysłowców, kupców, którzy w dziurawych butach rozpoczynając swój zawód, wyszli na milionerów. Znam wreszcie biedne panny, które milionerkami wprawdzie nie zostały, ale potrafiły w uczciwie prowadzonem życiu zebrać pewne oszczędności wielce w starości przydatne.

Jakże więc tu można stanowczą udzielić radę i wskazać pracę największy dającą zarobek? W każdej są bogacze i biedacy, bankruci a nawet i nędzarze, powodzenie bowiem zależy od zdolności i rozwiniętej energii, nierówno między ludźmi rozdzielonych.

Czem się więc powiny zająć panny niebogate?

Przedewszystkiem zbadaniem własnego usposobienia, potem wyborem odpowiedniego zajęcia i wreszcie oddanie mu się z największym zapałem, który nigdy nie zawiedzie.

Z Wilna donoszą co następuje: Dopiero teraz dają się przypuszczalnie obliczyć skutki strasznego spustoszenia, zrządzonego przez burzę z 24 Listopada. Mamy wiadomości z wielu punktów: wszelkie opisy nie wystarczają na odmalowanie tego co się działo. Jednocześnie na całej przestrzeni kilku guberni huragan łamał, gruchotał i przewracał wszystko co na powierzchni ziemi spotykał w niepowstrzymanym pędzie. Ucierpiały przedewszystkiem lasy. Sprawdzając przysłowie: „Gdzie krucho tam się rwie”, wichry pastwiły się najbardziej na naszych przerzedzonych lasach, obalając to, co zostało od siekiery żydowskiej. Znamy kilku wła-

ścicieli, którzy wyciąwszy znaczne przestrzenie na karczunek, zostawili szczupłą ilość lasu, ściśle potrzebną na opał i naprawę budowli i te właśnie resztki były połamane i powyrywane z korzeniami. Większe przestrzenie leśne oparły się jakokolwiek zupełnemu zniszczeniu, chociaż szkód tam stosunkowo daleko więcej. U pewnego mego znajomego w pow. Lidzkim obliczono pni połamanych i wyrwanych przeszło 20,000 sztuk. Biorąc na uwagę, że w naszych stronach za pień od 10 do 12 cali średnicy płacą bez targu po 2 rs., strata w tym majątku wypada na 40,000 rs. A jeżeli owej fatalnej nocy tyle zginęło lasu na całej przestrzeni kraju, ile w miejscowościach zkąd mamy dokładniejsze opisy, to wypadnie rachunek na kilka milionów rubli. Nie wspominamy tu ani o strzechach słomianych doszczętnie pozdzieranych, ani o budowlach starych porozrywanych na sztuki (dużo i nowych budynków powywracało), ale zaznaczamy jedynie towar stracony, reprezentujący milionowe sumy, uniesione niepowrotnie z wiatrem. Możnaby z połamanego materyału wybrać dużo sztuk zdatnych na budowlę i sprzedać włościanom, bardzo chętnie kupującym budulec, lecz przesąd miejscowy zabrania używać do budowania drzewa obalonego wiatrem. Na jeziorze Trockiem ogromne fale powyrzucały masę ryb na brzeg i okoliczna ludność zbierała ryby torbami. Niepamiętna ta burza 24 Listopada, zaznaczyła początek dni ciepłych, chmurnych, mglistych, które trwają bez przerwy aż dotąd. Powkładaliśmy jesienne paltoty i przy pięciu stopniach ciepła zapomnieliśmy, że parę tygodni był u nas tęgi mróz. Niedobry prognostyk dla oziminy.

W pismach codziennych spotykamy obecnie liczne ogłoszenia o sprzedaży futer męzkich i damskich. W sprawie tej chwycono się otóż w ostatnich czasach tej samej manipulacyi, jaka oddawna znaną jest przy sprzedaży mebli z powodu wyjazdu, to jest, że składy futer tandetnych, powierzają je za prowizyę, osobom prywatnym do sprzedania.

Ofiarą takiego podstępu padł p. Bol. B., fotograf, który kupiwszy przed miesiącem w okolicy ulicy Marszałkowskiej skunksy za rs. 60, zdziwił się niepomału i zmartwił, gdy skunksy -owe stały się przed kilku dniami białemi i okazały się skórkami... z kóz. Zwracamy zatem uwagę na futra sprzedawane „z powodu wyjazdu" lub... „z powodu zmiany interesu".

W okolicach Łucka pojawiła się ogromna mnogość myszy. Pola są tam tak podziurawione, że wyglądają jak sita. Przy zbieraniu stert z pól dostają się szkodniki do stodół i domów mieszkalnych i szerzą tam dalej zniszczenie. Koty są więc pod Łuckiem poszukiwane, a włościanie płacą za nie chętnie po rublu a nawet i drożej.

Zakup drzewek. Dobry przykład znajduje naśladowców. Przed parą tygodniami wspominaliśmy, iż kilku włościan nabyło u jednego z ogrodników znaczną partyę drzewek, celem urządzenia przy chatach ogródków. Przed kilku dniami dokonano znowu podobnego zakupu. Włościanin z gubernii radomskiej, Antoni Jaszyń, upełnomocniony przez gromadę, nabył partyę drzewek owocowych, złożoną z 200 sztuk.

Takich więcej!

Łamigłówki. Przed kilku dniami do jednego ze sklepów przy ulicy Krakowskie Przedmieście, zawitał włościanin z pod Raszyna, Szymon Rajtys z synem wyrostkiem lat 12 liczącym. Stary Szymon przyniósł ze sobą 20 pudełek rozmaitych gier i zabawek dziecinnych, między innemi 15 łamigłówek, oryginalnych dowcipnie obmyślanych przez jego syna. Właściciel magazynu zarówno jak dwaj jego subjekci, napróżno silili się przez dwie godziny nad rozwiązaniem łamigłówek... Gdyby nie pomoc samego twórcy, na nic by się były nie przydały usiłowania. Nabyto wszystko za rs. 8 (ośm), przyczem kupiec zamówił 10 tuzinów łamigłówek podobnych. Wieśniacy wyszli ze sklepu nadzwyczaj zadowoleni. Młody Jakóbek przed dwoma laty począł wyrabiać zabawki z modeli, zakupywanych w sklepach warszawskich, od dwóch zaś miesięcy począł je wyrabiać na własną rękę i z własnego pomysłu.

Hrabianka robotnicą. Przed kilkoma dniami w Preszburgu, młoda, piękna dziewczyna przybyła do urzędu prosić o książeczkę robotniczą. Złożyła przytem swą metrykę, z której ku wielkiemu zdziwieniu przekonano się, iż dziewczyną tą jest Melanja hrabianka Keglewitz. Urodziła się w roku 1874 w Preszburgu, a zarabia na chleb, jako dziewczyna fabryczna.

Biedaczka jest sierotą.

Połów gąbek. Wzdłuż brzegów afrykańskich od Tunisu do Aleksandryi, oraz na wodach włoskich, tureckich, greckich i austryackich, aż do Tryestu, połów i handel gąbkami stanowi dość ważną gałęź przemysłu. Dochód osiągany z połowu na morzu Śródziemnem oceniają na 10 milionów drachm (około 4 milionów rubli). Pierwotnie dobywano gąbki za pomocą harpunów, sieci lub przez zanurzanie się nagich nurków, przyczem ci, nie mogąc długo przebywać pod wodą, zbierali tylko największe egzemplarze bez względu na gatunek. Obecnie przy zastosowaniu aparatów z zapasem powietrza, nurkowie przywiązani do liny umieszczonej na łodzi, w głębokości 35 metrów pracować mogą na dnie morza całemi godzinami, zaś na większą głębokość 50 lub 60 metrów, 20 do 30 minut.

Połów na morzu Śródziemnem rozpoczyna się zwykle w Maju i kończy we Wrześniu; zatrudnia 3 do 4 tysięcy ludzi i do tysiąca łodzi rybackich. Główny handel gąbkami koncentruje się w Tryeście gdzie kilka wielkich firm otrzymuje towar z Syris, Kalymnosu, Hydry i Eginy, lub dla zakupna wysyła agentów na miejsce połowu. Domy te posiadają obszerne baseny z wodą morską, przygotowują i sortują towar do obiegu handlowego.

Gąbka bowiem wydobyta z morza, otoczona jest czarną powłoką i napełniona wewnątrz masą galaretowatą, która szybko gnije i psuje tkankę. Oczyszczenie więc odbywa się w ciągu najdalej 24 godzin, za pomocą drewnianych tłoków, poczem gąbki przemywają się wodą morską, suszą na powietrzu i prasują. W tym stanie rybacy odstawiają towar do Tryestu, gdzie w miarę potrzeby uzupełnia się jeszcze oczyszczenie wodą i ponowne oszuszenie, bez żadnych innych preparatów. Znane w handlu gąbki dzielą się na trzy gatunki, których wartość zależy od ich miękkości i wielkości porów.

Podatek od cudów. Władze skarbowe austryackie, które słyną ze zdolności wydobywania zewsząd pieniędzy, nałożyły podatek 105 złr. kwartalnie na rabina cudotwórcę Friedmana w Sadogórze, który cudownem leczeniem, udzielaniem błogosławieństw, łagodzeniem sporów i zdaje się, przepowiadaniem przeszłości, stale zajmuje się i każe sobie za to płacić dosyć znaczne sumy. Ojciec, poprzednik dzisiejszego rabina, zostawił kilka milionów majątku.

Smutny wypadek miał miejsce w Calais. Parowiec „Ville de Calais" przybył z Ameryki z naftą, a wyładowawszy swój transport, miał powracać po świeże zapasy do Filadelfii. Krótko przed odbiciem od brzegu zastępca kapitana i trzeci inżynier weszli do kajuty, w której znajdowały się puste żelazne rezerwoary po nafcie i zapalili tam zapałkę. W tejże chwili nastąpił straszliwy wybuch gazów, w rezerwoarach pozostałych; obaj sprawcy nieszczęścia i jeden majtek ponieśli śmierć na miejscu, a statek rozerwany został na dwie części.

Płomień wznosił się na 100 metrów wysokości, a ciężkie kawały żelaza siłą wybuchu rzucane były na 500 metrów odległości. Tylna część statku, na której znajdował się kapitan i reszta załogi, pozostała o tyle nieuszkodzona, że wszystkich zdołano uratować przed zatonięciem okrętu.

Prawdziwy przyjaciel! Jedno z pism węgierskich opowiada historyę drugiego zamążpójścia wdowy po Petöfim.

Po długiem wyczekiwaniu powrotu męża, powróciła żona jego do swej ojczyzny do Siedmiogrodu, gdzie jej tak dokuczano, że zostawiwszy synka swego pod opieką siostry, sama przeniosła się do Pesztu. Tam otoczyli ją wnet lowelasi, tak, że zaczęła się obawiać o swoją dobrą sławę. Będąc sama, nie wiedziała, kogo spytać o radę. W takiem właśnie położeniu zjawił się u niej wypróbowany przyjaciel Petöfiego, Alfred Horwath. On to poradził jej wyjść zamąż po raz drugi.

— Tak, gdybyś mnie pan wziął za żonę — brzmiała odpowiedź.

W miesiąc później Horwath ożenił się z wdową po Petöfim.

— Czy to prawda, że jesteś pan medyum do wywoływania duchów?

— Tak panie, jestem niem ale tylko w połowie.

— Jakto, w połowie?

— Tak, panie, w połowie tylko, bo ich wzywam a one wcale na to nie zważają i nie zjawiają się.

* * *

— Powiadają, panie doktorze, że wypijanie jajek świeżych, bardzo głos wzmacnia? — pyta zachrypły tenor medyka. Czy tak jest rzeczywiście?

— Nie ma żadnej wątpliwości, że tak jest, a dowód w tem najlepszy, że kura zaraz po zniesieniu jajka tak głośno gdacze, jakby dyabeł wlazł w nią i krzyczał.

* * *

Największy głupiec. Kiedy Emeryk Józef z Breidbachu został elektorem mogunckim, przyjaciel brata jego postanowił skorzystać z tego, by wyprosić u nowego dostojnika urząd dla swego syna. Uzyskawszy audyencyę u elektora, przedstawił mu swą prośbę i otrzymał odpowiedź przychylną. Kiedy jednak uszczęśliwiony ojciec wśród mnóstwa dziękczynnych ukłonów oddalał się już z sali audyencyonalnej, elektor zawołał:

— Słuchajno, przypominam sobie właśnie, że słyszałem gdzieś, iż jakiś Pretz jest największym głupcem na świecie. O kim to tak mówią, o tobie, czy o twoim synu?

— Wasza elektorska mość wybaczy, to niezawodnie o mnie tak mówią — odparł zakłopotany ojciec.

— A to wybornie! — odrzekł elektor — kiedy tak, syn twój, jako niegłupi, urząd otrzyma.

* * *

Przed teatrem pan X. czyta afisz, zbliża się do niego jakiś przechodzień i powiada:

— Mam na dzisiejsze przedstawienie cztery krzesła, może pan dobrodziej...

— Dziękuję ślicznie, ja mam kilkanaście tuzinów krzeseł do odstąpienia a nie mogę znaleźć na nie amatora.

— A w którym rzędzie?

— Na sznurze pod sufitem w moim magazynie mebli przy ulicy Zet.

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

NA GWIAZDKĘ.

Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa wyszły książki dla młodzieży starannie opracowane, w ozdobnych okładkach, mogące służyć jako pożyteczny i piękny podarek gwiazdkowy:

Lelum Polelum, opowiadanie historyczne z X-go wieku, przez autora Bitwy pod Raszynem, z rycinami W. Luskiny.

Młody wygnaniec, przygody wśród puszcz i stepów amerykańskich, przełożyła z Ryszarda Rotha M. J. Zaleska. Z rysunkami Stef. Wolskiego.

Niezgodni królewicze i królowa perełkowego pałacu. Bajki prawdą przeplatane, opowiedziała dziatwie M. J. Zaleska, z rycinami kolorowanemi pomysłu i rysunku Miłosza Kotarbińskiego.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani T. w Zawierciu. Na ryciny wszelkiego rodzaju sprowadzane z zagranicy nowe cło ustanowione na nie przenosi wartość ich samych. Życzeniu zatem zadosyć uczynić nie możemy pomimo najszczerszej chęci dogodzenia każdemu z naszych prenumeratorów.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami oraz prospekty „Biesiady Literackiej" i „Dziennika dla wszystkich".

OD REDAKCYI.

Дозволено Цензурою, Варшава, 30 Ноября 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.